

## ELŻBIETA KOWALCZYK

ur. 1947; Kamienna Góra



Miejsce i czas wydarzeń	Klementowice, współczesność
Słowa kluczowe	Projekt "Pszczelarstwo na Lubelszczyźnie. Nieopisana historia - Rzeczpospolita Pszczelarska", miód, właściwości miodu, napój miodowy, spożywanie miodu, ojciec pszczelarz, choroba

### Miód jest u mnie w ciągłym użyciu

Lubię [miód]. To jest jak z owocem – [najświeższe jest najlepsze]. Jak się zerwie owoc, to jest: „Nie rusz, bo nieumyte”. A tak naprawdę owoc jest [coś] wart pierwsze kilka sekund. I wcale nie trzeba się bać, że [jest] nieumyte. Tak że zerwana poziomka w lesie mi nie przeszkadza. Nawet mój pies miał własny krzak porzeczki, do którego nie dał się nikomu zbliżyć i przez cały sezon obżarł całą porzeczkę. [Jadł] tylko z krzaka. Można mu było urwać i już nie zjadł. Ja miód wcinam jak przy nim pracuję, bo padam wtedy na twarz, a miód regeneruje.

Pan inżynier Bojarczuk, nieżyjący już, długoletni prezes polskiego związku i szef pasieki w Końskowoli, był wielkim przyjacielem mojego ojca. Dał mi przepis na redbulla. Niech się schowają wszystkie sztuczności i chemie, które tauryną wykańczają mózg i resztę organizmu. Więc jest tak: łyżka miodu, sok z cytryny (nieważne czy z połówki, czy z całości), woda (może być zwykła kranówka) i odrobina drożdży. Wychodzi z tego podpiwek. W moich czasach było to coś bardzo dobrego. Babcie trzymały to w piwnicy. [Kiedy] człowiek się zakradł, to mógł tego wychlać trzy butelki pod rząd i nic mu nie było, nie upił się, [bo] nie było w tym alkoholu, ale dusza w nim grała. Praca w pszczelarstwie jest ciężka, a łyżka miodu z wodą dużo wnosi dla organizmu. Przypuszczam, [że w tym płynie] jest witamina C, witamina B, cukry, które mają prostą drogę do głowy, czyli do mózgu. To naprawdę dobrze robi i momentalnie stawia na nogi.

Jak pracuję przy miodzie, to go jem. Jak rozlewam miód, też go jem, z konieczności, bo wiadro trzeba wypłukać i z reguły to wypiję. [Miód] jem zawsze [wtedy, kiedy] jestem chora. Nie lubię miodu lipowego, ale mam wręcz fizyczny pociąg do mleka z miodem. Jestem nauczona, że jednak na gardło to bardzo pomaga. Śniadanie muszę czymś zakończyć i zwykle jest to kromeczka z masłem i z miodem. Nie zżeram za dużo miodu, ale jednak go jem. Zarzucam sobie, że nie jestem w tym systematyczna,

bo człowiek jest zagoniony, pędzi i jak zapomni, to nie zje. Świeży miód ma swój urok. Niestety, najgorsze, że wprowadziliśmy tradycję rozgrzewania miodu. Rozgrzany miód po jakiegokolwiek interwencji, nawet jeśli jest rozgrzany bezpiecznie, traci pewną część swoich właściwości fizykochemicznych. Z punktu widzenia konsumenta skryształizowany miód wydaje się być mniej atrakcyjny, co niekoniecznie ma przełożenie na fakty, bo jest zdrowy. Trzeba [ich] oswoić z tym, że dobry miód wcześniej czy później krystalizuje. Teraz wprowadza się kremowanie miodu, żeby nie był twardy, czyli zmienia [się] strukturę kryształów, są bardziej gładkie.

Mój ojciec zawsze [jadł] miód [na] śniadanie. Tradycyjnie jadł zupę mleczną. To była podstawa, zupa mleczna była zawsze, czy z lanymi kluskami, czy z kaszką manną. Zawsze ją sładził miodem. [Poza tym] regularnie do śniadania zjadał obowiązkowo łyżkę stołową miodu, pomimo że bardzo chorował. Miał bardzo silny organizm. Był po resekcji płuca, drugie było chore i dopiero w późnym wieku zostało wyleczone przez Duńczyków, tam go postawili na nogi. [Ojciec] zawsze budził zdumienie lekarzy, że trwa, że żyje. Żył tyle, ile chciał. Kiedy uznał, że dosyć, to umarł. Umarł tak, jak żył – siłą woli. W tym wszystkim na pewno pomocne były pszczoły. Ojciec tego nigdy nie ukrywał.

Ludzie nie rozumieją, że wystarczyłaby łyżeczka miodu [czy] pierzgi [przyjmowana] codziennie od dziecka. Naprawdę byłoby [wtedy] inaczej. Mówię tak: „Nie daj się choróbsku. Jak jesteś chora, [to] nawet się [do tego] nie przyznawaj. Po prostu nie daj się”. To jest do realizacji. Ludzie się nauczyli, że na wszystko jest tabletką. Tylko nie rozumieją, że ona na jedno pomaga, a na drugie zaszkodzi. Mam przyjaciółkę, panią profesor, która nie wychodzi od lekarzy. Ona ma dzisiaj wizytę u tego [lekarza], u tamtego. Jakie trzeba mieć zdrowie, żeby zjeść taką ilość leków. Ja jak jestem chora i mam czterdzieści stopni i lepiej, [to] nie wyobrażam sobie pójścia do lekarza. To jest nierealne. Jak choruję, to na poważnie.

W sezonie umorduję się, że nie wiem, ale mam do czynienia z pszczołami, z miodem i nie choruję. Konstytucyjnie jestem słaba, bo rodzice chorowali na gruźlicę, jestem poobozowym dzieckiem wojny, z pokolenia, które [jest] słabsze i nie odziedziczyło krzepy czerstwości, jak to mówimy: z przedwojennej gliny piec i dlatego się trzyma. W lecie nigdy nie choruję, nie ma mowy o anginie. Byle co mnie nie bierze. [Kiedy] choruję, to przychodzi nie baba do lekarza, tylko baba doktor do drugiej baby. I mówi tak: „Jest bardzo źle. Nie mogę pani wsadzić do szpitala, bo pani umrze. Za dwie godziny zacznie się pani dusić. Jest tak rozległe zapalenie płuc, że koniec świata”. Dobrze, że mądra doktor.

Jednak [choruję na] zapalenie płuc na dużą skalę raz-dwa razy w roku w okresie, kiedy kończę z pszczołami. Myślę, że to jest w dużej mierze [także] psychiczne. Może też wtedy mam dużo do czynienia z ludźmi. Jak się ma do czynienia tylko z przyrodą, z pasieką, to jest mniejsza infekcyjność, bo człowiek jest na łonie przyrody. Potem [jest] dużo spotkań z pszczelarzami. Jestem bezpośrednia, więc każdy do mnie idzie, każdy mnie musi ukochać, uścisnąć. Może [wtedy następuje] jakaś wymiana bakterii.

[Ale] z [zapalenia płuc], w ramach eksperymentów, potrafię wyjść nawet bez antybiotyków. Myślę, że [choruję] też dlatego, że nie jestem systematyczna, jeśli chodzi o apiterapię i o to, żeby pamiętać o łyżeczce miodu, o pierdze czy o pyłku.

<b>Data i miejsce nagrania</b>	2016-07-13, Klementowice
<b>Rozmawiał/a</b>	Piotr Lasota
<b>Transkrypcja</b>	Maria Buczkowska
<b>Redakcja</b>	Maria Buczkowska
<b>Prawa</b>	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"